№ 39. Warszawa, dnia 2 (14) Maja 1872 roku. Tom I. — Rok I.

WIENIEC

PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35, miesięcznie kop. 45.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2.

Wydawca Hipolit Orgelbrand.

Expedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austryackiem: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartał: flor. 3 cent. 25; na prowincyi z przesyłką pocztową, flor. 3 cent. 77.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie: flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 52.
W W. Ks. Poznańskiem: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, na prowincyi z przesyłką pocztową tal. 2 sgr. 7½.

GENEZIS
KOMEDYI DZISIEJSZÉJ.

Dalszy ciąg. (*Ob. N. 38*).

W mowie Demostenesa o *Chersonezie* Trackim, wyczytujemy patryotyczną obronę jednego z dowódców wojsk ateńskich, imieniem Diopit. Posłanym on był przez ówczesny rząd, roku 340 przed Chrystusem, na czele osady, dla zajęcia pewnego punktu w Chersonezie Trackim, który stał otworem greckiemu osadnictwu. Kardyanie podnieśli gwałt o naruszenie swego terytoryum, a Filip Macedoński, który nie czytał jeszcze Machiawela, czuły na wołania uciśnionego ludu, wyprawił siłę zbrojną na pomoc Kardyanom. W odwet za to, salwując honor swego posłannictwa i chwałę swych wojskowych znaków, Diopit, spustoszył wybrzeże Tracyi podległe Macedonom. Wtedy Filip, który snadź czekał tylko na to, posłał przeciw niemu piśmienne zażalenie do Aten, i dopieroż tam poczęła się walka patryotyzmu, między stronnikami Filipa którzy dobro kraju upatrywali w uległych stosunkach ku znakomitemu politykowi a stronnictwem usiłującem za jakąbądź cenę zachować niepodległość i nie wierzącem w zalecanki Filippa. Oskarżonego Diopita bronił koryfeusz niepodległości, Demostenes, w tych słowach pełnych krasy, logiki, przekonania i zapału, których tajemnicę poniósł z sobą do grobu,—i wywalczył mu uniewinnienie. Tego to rycerskiego Diopita synem był Menander, urodzony w Atenach prawie w przebiegu téj sądowéj walki, to jest w r. 342 przed Chr.

Wychowanie Menandra odbywało się pod wpływem filozofów różnych szkół. Rówieśnik Epikura, węzłem przyjaźni połączony był z nim całe życie, ale korzystał również z wiedzy Arystotelesa, mianowicie pod względem sztuki dramatycznéj któréj mędrzec ten prawidła w Poetyce swéj określił. Stała mu też otworem księga traktująca o komedyi, napisana przez Teofrasta, ucznia Arystotelesowego, a obcowanie z nim, jako z człowiekiem posiadającym niepospolity umysł postrzegawczy, było dlań zapewne bardzo nauczającem. Miał też i w rodzinie swéj Menander wzory kształcące go do przyszłego zawodu, gdyż stryj jego, Alexis, jest właśnie jednym z najcelniejszych mistrzów komedyi średniéj. Naturalnie, że wrodzony geniusz najwięcéj przyczynił się do wczesnego rozwinięcia poetycznych zasobów, gdyż Menander w dwudziestym pierwszym roku życia już otrzymał konkursową nagrodę, i tak szedł stopniami coraz daléj i coraz wyżéj w znaczeniu i chwale, aż stał się wzorem i prawodawcą rodzaju na cały świat grawitujący ku cywilizacyi greckiéj. Nie wchodzimy w dalsze, prywatne szczegóły jego życia, które wprawdzie rzucają pewne światło na społeczne obyczaje greckie; dopowiemy tylko że w pełni życia i talentu, mając lat pięćdziesiąt dwa, przypadkowo utonął w porcie Pirejskim, a ziomkowie wznieśli mu grobowiec w sąsiedztwie z pomnikiem Eurypidesa.

Trafił więc życiem swem Menander na ten moment dziejów Grecyi, w którym życie polityczne a za niem i życie uliczne zupełnie wyniosło się z Aten, i natomiast obywatelom Grecyi, pozbawionym ciężaru interesów publicznych, nie pozostawało nic innego tylko zająć się interesami prywatnémi, domowémi, urządzić dostatki swoje i czynność umysłów swoich. Jednocześnie też wszystkie zdobycze wiedzy rozpierzchłe jakby po różnych stronnicach dzisiejszych ksiąg encyklopedycznych, niedokładne i w żaden system nieujęte, zaczęły uczuwać potrzebę metody. Niemałym ku temu bodźcem byli retorowie, którzy przez ciągłe parodyowanie uczonych i piszących, zmuszali niejako naukę i sztukę do poddania się pewnemu regularnemu prawu. Zdaje się istotnie jakoby w téj chwili te nagromadzone materyały wiedzy czekały tylko na jakiegoś olbrzyma któryby je silną ręką ogarnąć zdołał i z chaosu do porządku wyniósł. Zjawił się ten olbrzym, istne dziwo wszechstronności umysłowéj, który podjął się przerażającéj pracy. Zebrał on i rozgatunkował wszystkie szczegóły, zestawił wszystkie doświadczenia porównał wszystkie objawy i pušcił się na wyszukiwanie praw zasadniczych wszystkiego co ma jakikolwiek byt. Przejrzał krytycznie ustawy dwustu rzeczypospolitych, i napisał Politykę; myśli o Bogu i człowieku ujął w Metafizyce i Etyce; wzgląd na naturę przedstawił w teoryi o Zwierzętach; na rzecz wymowy i poezyi wypracował Topiki, Retorykę i Poetykę; a cały dopiero proces myślenia ludzkiego przedstawił w Analitykach. Jest to autor *Organonu*, Arystoteles.

Dziwnem jakieś zrządzeniem, komedya była najpierwszą która skorzystała z nauczania mistrza;—i trzeba było aż tak potężnego głosu ażeby ją na właściwą naprowadzić drogę. Dlaczego ona, powstawszy równocześnie prawie z dramatem poważnym, nie poszła razem z nim w wyborze odpowiednich sobie przedmiotów, — na to odpowiedzieć trudno. Był wprawdzie w okresie komedyi dawnéj jeden poeta, Krates, który ważył się na sprobowanie czegoś podobnego do regularnéj intrygi, ale podnosił on głos nieśmiało a zagłuszył go wrzawą swych bezprawidłowych

buffonad Arystofanes, który dowcipem, werwą i poezyą okupywał wszystkie braki, a usprawiedliwienie swe znajdował w szalonéj wesołości i oklaskach jakie wywoływał między słuchaczami. Dopiero poeci komedyi średniéj, nowe przedmioty wcieliwszy do swych dzieł, zmuszonemi byli postarać się i o nowe dla nich formy.

Rozpacz to doprawdy bierze, iż po tak szczupłych szczątkach nie może człowiek należycie dobić się do ducha całości: ledwie umysł zaczyna wpadać na trop jakiegoś zdania, aliści materyał się rwie w najpotrzebniejszem miejscu, i robota z rąk się usuwa. Z urywków jednak komedyi średniéj zawartych w dziele Meinekego, domyśleć się można że poeci jéj już rozpoczęli wypełnianie rodzaju do form więcéj dramatycznych, i mieli plan więcéj obmyślany jak w szalonych fajerwerkach Arystofana. Ale komedye ich nie widać iżby miały akcyę: były to raczéj sztuki w rodzaju grywanéj u nas kiedyś staréj krotochwili p. n. *Oryginały*, lub zamieszczonéj przed kilku laty w Tygodniku Illustrowanym komedyi p. n. *Pan Wojski*, Wacława Szymanowskiego. Jest to niby tak: autor urządza scenę w ten sposób ażeby módz pod pewnym logicznym pretekstem wprowadzić na nią umyślone jakieś indywidua komiczne któreby się ze swojemi wadami czy śmiesznościami wypowiedziały. Ztąd tworzą się dyalogi, monologi, nie związane żadną żywotną nicią, ale tylko abstrakcyjną intencyą moralną. Są to tak nazwane przez Francuzów *comédies de tiroir*. Niema w nich tego rozrostu konarów roślinnych na jednym pniu, ale raczéj gruppa kwiatów stojących obok siebie w doniczkach lub rosnących w kwaterze.

Ale i ci już poeci snadź uczuwali niedostateczność takiej formy, zwłaszcza gdy im przyszło zapuścić się głębiej w stosunki ludzkie. Niewiadomo czy który z nich utworzył jaką sztukę posuniętą dalej nieco w formę dramatyczną, ale to pewna, że niektórzy wieścili głucho ten przyszły kierunek, bo oto co mówi Antifanes w jednej ze swych sztuk przez niewiem czyje usta: „Tragedya jest to, doprawdy rodzaj szczęśliwy i łatwy. Nasamprzód przedmioty które ona sobie wybiera, znane są przez wszystkich widzów i to nim się jeszcze która z osób do sztuki wprowadzonych odezwie. Jak tylko powiem: Edyp,—to wiecie już o wszystkiem, o jego ojcu Laju, o matce Jokaście, o córkach, synach, o jego zbrodniach i nieprawościach... Potem, kiedy niemają już nic do powiedzenia, to podnosi się machina,—to tak łatwo jak palcem poruszyć—i widzowie oświadczają że są zadowoleni.—Ale my, poeci komiczni, my nie mamy tylu ułatwień.—My musiemy wymyśleć wszystko: imiona nowe, wypadki które poprzedziły akcyę, wypadki mające dziać się w obecności widza, zawiązanie, rozwiązanie, nie wiedzieć co!" Widocznie pokazuje się z tych wierszy, że zmieniły się warunki komedyi od czasów Arystofana, ale nie starczy materyału na to, ażeby tę zmianę dokładnie można udeterminować: w każdym jednak razie błyska tam już jakiś zaród intrygi.

Całkiem wszelako nowe światło padło na sztukę dramatyczną z krytyki Arystotelesa. Tu już nie chodziło o formy mniej lub więcej zewnętrzne o jakich przemawia Antifanes,— w Poetyce mistrza wystąpił filozoficzny a. ramen praktyczny rozbiór rozlicznych pierwiastków składowych dramatu, ich odnośnej wartości i praw ich szczegółowych. „Ze wszystkich części dramatu,—powiada on, najważniejszą jest urządzenie akcyi gdyż dramat nie oderwaną przedstawia *ludzkość*, ale żyjącego i działającego *człowieka*. Osnowa dramatu jest jego zasadą i jakoby duszą: obyczaje stoją na drugiém miejscu,— podobnie jak w sztukach graficznych rozłożenie najpiękniejszych barw nie sprawia takiej przyjemności jak prosty zarys postaci."

Nic nigdy głębszego nie powiedziano w estetyce pod względém natury i znaczenia dramatu (a w ogólności i wszelkiego rodzaju sztuki). Duszę jéj stanowi istotnie kompozycya, pomysł całości w harmonii ze wszystkiemi częściami, czyli ten główny, podstawowy skielet, który już łatwiej wypełniać artystycznemi i technicznemi środkami, i doprowadzać do form żądanych. A od ważności akcyi przechodząc do jéj warunków, Arystoteles powiada: „Osnowa powina być jedną, nie jednością bohatera, jak to niektórzy sądzą, ale jednością przedmiotu: powinna być jedną i zupełną, a złożoną z części tak powiązanych ażeby ani jednej z nich ani ująć ani naruszyć nie było można bez nadwerężenia lub zepsucia całości... Tym sposobem nie powinno tam być żadnych epizodów które z akcyą nie mają naturalnego i koniecznego związku (*)." Oto jest jedyna jedność jakiej żądał Arystoteles. Zkąd się wzięły przypisywane mu trzy jedności, tego nie wiem, bom ich nigdzie w jego poetyce odkryć nie mógł.

Na głos snadź genialnego krytyka zerwał Menander z obu poprzedniemi rodzajami komedyi, i cały układ swojej poprowadził według wskazówek mistrza. Dzięki Donatowi, komentatorowi Terencyusza, ocalały ułamki treści dwóch komedyi Menandra, z których doskonale przegląda nowy duch komedyi, zupełnie do tegoczesnego zbliżony.

W jednej z nich, p. n. *Skarb*, młodzieniec pewien, w rozpuście strwoniwszy całą ojcowiznę, przypomina sobie o obowiązku, który z rozkazu umierającego ojca spełnić miał w lat 10 po jego śmierci. Starzec za życia jeszcze przygotował sobie wspaniały grobowiec, przy którym w lat dziesięć od zgonu miała być dlań urządzona pogrobowa uczta. Syn tedy, posłuszny woli ojca, wysyła punktualnie w naznaczonym terminie niewolnika by spełnił co należało. Ale marnotrawca, ten sprzedał nawet grunt, na którym znajdował się grobowiec, staremu skąpcowi; i do niego to właśnie udać się musiał niewolnik by mu dopomógł otworzyć go. Po otwarciu znajdują tam pismo i skarb. Skąpiec natychmiast chwyta za pieniądze, oświadcza, że one do niego należą, i dowodzi, że to on ukrył je tam w chwili najazdu nieprzyjaciół, dla bezpieczeństwa. Wtedy młodzieniec odwołuje się do Sądu... (*d. c. n.*)

(*) Poetica V. VIII. IX.

NA MARNE.

SZKIC POWIEŚCIOWY

przez

HENRYKA SIENKIEWICZA.

Ciąg dalszy. Ob. (Nr. 38).

— A rodzina?

— Jaka?

— Jego?

— Krzywdzą ją! wołał gwałtownie Gustaw.

— Ale to bogaci ludzie podobno?

— Krzywdzą ją! Panki! nabożnisie!—Jeszcześmy nie skończyli; długo popamiętają krzywdę tego gołębia. Słuchaj Szwarc! żeby maleńkie dziecko z tego rodu prosiło mnie o kawałek chleba z głodu—tobym go wolał psu rzucić!

— Romanse!

— Szwarc, nie krzywdź mnie!—Ja biedny człowiek słów nie marnuję; ale Potkański już w szpitalu, przed samą śmiercią, oprzytomniał trochę i powiada: „Gustaw, zostawiam ci żonę przyjmiéj ją." Powiadam: „Biorę ją w opiekę!" On pyta: „Nie dasz jéj głodu mrzeć?"—Mówię: „Tak!" On znowu: „Nie daj, pomścij jakby ją kto chciał krzywdzić"—Ja na to: „Jak mi Bóg i życie miłe, pomszczę!" Potém zgasł jak gromnica—ot, masz wszystko!

— Nie wszystko! nie wszystko, bracie!

— Mówił ci i resztę Wasilkiewicz. To dobrze! Powtórzę ci toż samo: Nie mam nikogo na świecie—ani ojca, ani matki—sam biduję z dnia na dzień a z życiem wiąże mnie (pokazał oczyma wdowę) ta jedna.

A tu mało świadomy jeszcze Szwarc miał sposobność ocenić to, co jest namiętność, gdy wzbierze w młodéj piersi i ognia do krwi doleje. Ów suchy i skurczony Gustaw zdawał się w téj chwili nabierać sił i życia— zdawał się wyższym i mężniejszym, wstrząsnął włosami jak lew grzywą—na twarz wystąpił rumieniec.

— No, panowie! zabrał był głos Wasilkiewicz: godzina późna, a nie wszystkich czeka sen po wyjściu ztąd. Jeszcze jedna nasza piosneczka, a potém, kto wola, dobranoc.

Siedzący przy fortepianie, o dziewiczéj twarzy młodzieniec, wziął kilka znanych akordów; wkrótce zabrzmiała, z początku na kilka, potém na cały chorał młodych głosów rozłamana, miła młodzieży piosenka—„Gaudeamus".

Szwarc zbliżył się więcéj niż inni do fortepianu. Stał bokiem odwrócony do wdowy, pod światło, ale kinkiet wiszący przy ścianie obrzucał profil jego jakby jedną ognistą linią. Chwilę promienie oczu wdowy padły na ową linię, niespokojnie wiążąc ją z własnemi myślami: nagle podniosła się blada jak marmur, z gorączkowém światłem w oczach—i wyciągnąwszy ręce przed siebie krzyknęła:

— Kazimierzu mój, znalazłam cię!—Jestem!

W głosie jéj czuć było nadzieję, trwogę, radość i przebudzenie.—Ucichło. Wszystkich oczy zwróciły się na Szwarca, i tych, którzy znali Potkańskiego, dreszcz przebiegł. W świetle i cieniu, ta wysoka silna postać była jakby odbiciem postaci Potkańskiego.

— Nie spostrzegłem się, mruczał Gustaw wracając o świcie do domu—hm! no, już jéj przeszło, ale gorączka była!... Podobny jest w istocie... Niech to dyabli porwą!... A dusi mnie dziś w piersiach przekleście.

II.

Szwarc długo się namyślał nad wyborem wydziału.

— Dałem sobie uczciwe słowo honoru, że się nie zmarnuję w życiu, dla tego myślę — mówił Wasilkiewiczowi.

A już to trzeba przyznać, że uniwersytet wabił go nie na żarty. Z różnych stron świata, jakby stada żurawi, ciągnęła tam młodzież. Jedni wchodzili drudzy wychodzili, czerpać w spragnione głowy. Zabiegali tam ludzie wedle nauki, jak pszczoły wedle miodu; kupili się, rozpraszali i tłumnie chodzili; czerpali z nauki, czerpali z siebie, czerpali z życia; oddawali ją i odbierali napowrót; zamykali ją lub rozrzucali, szli naprzód, stawali, padali, zwyciężali, łamali się z nią; kąpiąc się w tém morzu toni niektórzy, inni wypływali. Ruch, gwar—życie panowało niezmierne. Uniwersytet był to niby wspólny matecznik, gdzie miały się zapładniać mózgi; — coś nakształt wrzątku

kipiącego rozumem i młodością. Otwierał się co rok wydając dojrzałe owoce, a przyjmując natomiast nowe szczepy. Ludzie rodzili się tam raz drugi. Pięknie było patrzeć, jak owa młodzież, nakształt fal wodnych, wylewała ztamtąd na świat corocznie, niosąc ciemnym światło, niby żywność glebie ludzkiéj. Na takie to morze dostała się łódka życia Szwarca — gdzie miał zawinąć? Różne fakultety niby porty nęciły go. Gdzie się skierować? Długo namyślał się, wreszcie wpłynął.

Wybrał fakultet medyczny.

— Niech się co chce dzieje, muszę być i bogatym—powiedział sobie rozstrzygnąwszy kwestyę wydziału.

A było tego wahania tyle dla tego że Szwarca jako otwartą głowę niezmiernie obchodziły tajemnice nauki. Ciągnęła go i literatura, i prawo, nauki przyrodzone uważał za tryumf myśli ludzkiéj. Co do tych nauk, opinię tę wyniósł jeszcze ze szkół. Był tam młody nauczyciel chemii, wielki entuzyasta—ten wychodzącym ze szkół uczniom swoim powiedział pewnego razu położywszy rękę na sercu:

— Wierzcie mi moi drodzy, że po za naukami przyrodzonemi istnieje tylko gadanina.

Wprawdzie i wielebny prefekt, kończąc rekollekcye, zapewniał, że tylko nauka kościelna prowadzi człowieka do szczęśliwości wiekuistéj, ale Szwarc, którego prefekt już wówczas nazywał „wszetecznym kacerzem," zrobił tak brzydki grymas, że z jednéj strony wzbudził śmiech we wszystkich obecnych, z drugiéj ściągnął straszliwe gromy na swą głowę.

Wybrał tedy fakultet medyczny.

Zresztą podziałał nań w tym względzie Wasilkiewicz. Ten Wasilkiewicz, sam student, miał słusznie czy niesłusznie ogromny wpływ na młodzież. Zdarzyło się że na pogawędce studenckiéj jakiś grammatyk filolog, z większą hipokryzyą niżeli szczerością, dowodził że człowiek, który się odda nauce, powinien jéj jednéj poświęcić samego siebie, zapomnieć o świecie i szczęściu, a wcielić się w nią, być tylko jéj wyrazem, zasadą, słowem. Więcéj w tém dowodzeniu było fałszywego zapału i nadętości niż prawdy: „Mówiono, prawił mówca, że rybak islandzki, zapatrzył się się w zorzy północnéj i nie bronił się prądom. Falę go niosły na głębię, a on z oczyma utkwionemi w zorzę stał cały czerwony w jéj promieniach, aż wreszcie porwał go duch otchłani i zamknął pod szklaną falą— ale w oczach rybaka zostały odbite światła zorzy.

„Oto nauka i życie! mówił daléj—kto raz przed nią uchyli czoła, tego niech fale życia niosą na jakie chcą głębie, światło nam pozostanie".

Są zasady w świecie, których się nie uznaje, ale by przeciw nim wystąpić, trzeba niemałego zapasu odwagi. Owoż między młodzieżą jeden i drugi milczał, tylko Wasilkiewicz sapał gniewnie i podnosił się w krześle, wreszcie zerwał się i zaczął mówić:

„Tfu na próżne słowa! Niech Niemiec z taką nauką się żeni, nie my! U mnie nauka dla ludzi, nie ludzie dla niéj. Niech Niemiec zmienia się w pergamin. Głupi był twój rybak; żeby był wiosłem robił, zorzęby widział i ryb dzieciom przywiózł. A to co znowu! Toż ludziska i cierpią, i głodem a zimnem przymierają, a ty będziesz się odrywał od świata i ciężarem mu będziesz nie pomocą?

„Oj Tetwin, Tetwin! (tak się nazywał poprzedni mówca) patrz na znaczenie nie na dźwięk słów swoich. Głupstwo łączyć umiecie z rozumem! Dziś ci się zdaje, że się wyrzekniesz szczęścia dla kilku wypłowiałych kartek. Nieprawda! Jak przyjdzie chwila, a zaboli cię pierś serdecznie, to zatęsknisz poczciwie do szczęścia, i do kochania. Ot, u mnie naprzykład na Żmujdzi, w chacie para staruszków—ojciec i mać jakby gołąbki białe, a jedno drugiemu prawi o mnie mizernym takie wieści jakby o królewiczu złotym. Cóż bym ja był wart, gdybym zamknąwszy się w książce nie pomyślał o nich a opuścił na stare lata? Pekby na mnie! Ot! przyszedłem tutaj i u nauki o nich i o siebie się upomnę. I nie ja jeden. Każdy kto rolę uprawia, ma prawo jeść chleb ze swojéj roli. To raz! Nauka, nauką—a uczony niech się nie odrywa od życia, niech mi nie będzie niedołęgą... Uczony, uczony!.. a kamizelki sam sobie zapiąć nie umie, dzieci nie chowa, o żonę nie dba. Czemu nie godzić praktyki życia z nauką? czemu jéj nie wlać w życie i saméj życiem nie ożywić?"

Tak mówił Wasilkiewicz.

Powiedział i sapał.

Nie w tém rzecz czy fałsz czy prawdę powiedział— my dla tego tylko przytoczyliśmy tę rozmowę, że Szwarc, z natury skłonny ku praktyce wziął ją do serca, rozważał, myślał, dumał i obrał fakultet medyczny.

Niech co chce będzie, człowiek przynosi na świat pewne skłonności.

Szwarc z przyrodzenia był usposobienia realnego, jakoś więcéj przystawał do rzeczy niż do idei — nielubił także wszelkiéj dyalektyki. Daleko wolał widzieć przedmiot takim jak jest, aniżeli piękniejszym niż jest. Dwojaki jest ruch myśli w głowach ludzkich: jedne dążą wiecznie od środka, drugie przenoszą wszystko do środka, pierwsze wchodzą w rzeczy badane i ożywiają je łącząc się z głównem źródłem zaledwie delikatną nitką świadomości—są to tak zwane zdolności twórcze; drugie chwytają niejako rzeczy, przenoszą do własnego źródła, łącząc je tam, pojmując dopiero tam, układając i porządkując— są to zdolności naukowe. Tamte wrodzone twórcom, te badaczom. Różnica między niemi taka, jak między rozrzutnikiem i sknerą —jak między oddychaniem a wdychaniem.

Trudno powiedzieć, które lepsze: jedne mają dar stwarzania, drugie odtwarzania a nadewszystko przetwarzania. I w drugich jest niby coś czynnego — prawda, że i żołądek ma tę własność.

(d. c. n.)

KORESPONDENCYA.

Z gubernii Podolskiéj (z Kareczyniec) w Kwietniu 1872 r.

Różnica kalendarza prowincyi naszéj z waszą, zapewne i różnica klimatu, stanowią powód, dla którego korrespondencya moja często bywa nie na dobie. My oto przygotowujemy się dopiero do przyjemności świątecznych, gdy u was i wspomnienie Wielkiéjnocy dawno już przebrzmiało. Za to my od dawna jako na wsi, patrzymy na wzrost roślin zadziwiająco szybki, a tak zajmujący dla badaczy i amatorów przyrody; dawno konsumujémy nowalie, które nie prędko jeszcze wejdą na wielką widownię miasta. Mimowoli nastręcza się tu filozoficzne pytanie: czy lepiéj wychodzą ci, co prędzéj doczekają się przyjemności a potém bawią się rozpamiętywaniem, czy ci, co czekają dłużéj, ale mają jeszcze przed sobą nadzieję i przyjemność, która, niestety! zawsze najpiękniéj świeci gdy z dala?

Widać, że wiosna jakby istota delikatna i dobra wymaga łagodności. Otoż zima łagodna przygotowała je do wczesnego rozwicia. Mało kto pamięta, by około 20 Marca dzień był gorący jak w Czerwcu, a po nim złotodajny, ciepły deszczyk poprzedzony grzmotem... Latające towarzystwo much, bąków, komarów i pszczół jakby czekało tylko na to hasło zapowiadające przyjazną im porę, z brzękiem całemi chmarami wzbiło się w powietrze. Te ostatnie nie omieszkały przypomnieć dwunogim o swojéj obecności, powitawszy nie jednego gorącym całusem. Energiczny upominek ten pszczoły, Podolanie, więcéj niż kto inny wziąćby powinni za assumpt do zwrócenia baczniejszéj uwagi na ten owad ze strony utylitarnéj.

Pszczolnictwo bowiem u nas, bynajmniéj poszczycić się nie może stanem kwitnącym; brak zamiłowania w tém zajęciu nowożytnych gospodarzy, trudność w wynalezieniu dziś człowieka kompetentnego w prowadzeniu pasieki, stoją na przeszkodzie jéj rozwojowi. Minęły dawne czasy i ludzie, kiedy „kochano się w musze"; dziś jeśli posiada kto jeszcze kilkanaście ulów w spuściznie po jakim swoim praszczurze, sukcessya ta przyczynia mu tylko kłopotu w gospodarstwie Trza bowiem pamiętać, by w porę wystawić pasiekę na toczku, następnie doglądać rójków i wreszcie wynaleźć dla nich suche schronienie. Słowem postępuje się z tém jak z jakim antykiem pomiątkowym, wydobywa się z kryjówki, przewietrza i napowrót do pudełka. O zysku jakimkolwiek ani mowy być tu nie może, bo choć schowa się wprawdzie do temnika (komórki zimowéj) trochę więcéj ulów niż się zeń na wiosnę wydobyło, ani chybi jednak ze zaglądnąwszy na następną wiosnę zastanie się tylko liczbę dorównywającą przeszłorocznéj. Nadetatowe zaś ule pełne są trupów i wosku zapleśniałego (w stanie kwitnącym). Można jeszcze gdzie niegdzie napotkać staroświecki dom ocieniony stuletniemi lipami, zamieszkany przez tylożletnich: jegomości dobrodzieja i jéjmość dobrodziejkę; tam więc w okalającym dwór niemniéj starożytnym sadzie napotkać można jeszcze wzorową pasiekę z pilnującym ją w słomianéj budzie z siwą po pas brodą dziadem, z owego tradycyonalnego rodu pasieczników, co to cały wiek swój więcéj spędzili z muchami niż z ludźmi, i tak wtajemniczyli się w życie tych pierwszych, iż gotowi niemal opowiadać z detalami biografię każdéj wychowanki.

Właśnie jeden z podobnie ciekawych egzemplarzy zdarzyło mi się téj wiosny napotkać w ogrodzie mego sąsiedztwa. Było to świeżo po deszczu, wyszedłem odetchąć na wolném powietrzu, i błądząc z ulicy na ulicę, natknąłem się wypadkiem na pasiekę. Stary nachylony nad jednym z ulów zdawał się być mocno zajęty.

— Jak się miewacie? rzekłem pozdrawiając; a co to robicie?

— Chwalić Boga niczego... Bóg zapłać za dobre słowo. Ot paniczku deszcz napadł w drodze mego robotnika ta i musiał przeczekać nieborak na słomie. To mówiąc ocierał starannie skrzydełka zbłąkanéj mieszkance ula i następnie wpuścił ją powoli w oczko.

— Jakże tam w tym roku pasieka? ozwałem się znowu chcąc zawiązać rozmowę.

— Źle coś pokazuje, źle; pokarmu to jest, niczego—byłoby choć do zimy, ino muchy mało.

— To właśnie dobrze! odparłem, kiedy gąb nie wiele a jeść jest co, to każda będzie syta?

— Ba! gdybyż to tylko chodziło o to by się ponajadały—to zapewne; ale tu niezabawem huk pracy a robotnika mało!..

— Bądźcie spokojni, rzekłem biorąc stronę pszczół: jak się dobrze najedzą, to robić będą za dwóch.

Nie trafiało to widać do przekonania starowi-

ny, bo nic mi nie odpowiedziawszy, mrucząc zabrał się do dalszéj roboty.

— A to co? zapytałem znów ukazując nieżywą pszczołę leżącą do góry żółtym brzuszkiem na deseczce u otworu ula.

— E! ta nie trafiła widać do swojéj chaty i wścibiła nosa do cudzéj, a straż zaraz i zadziubała.

— Jaka straż?

— O! alboż to nie wiecie, że u oczka każdego ula stoi na warcie z obu stron po dwie pszczoły?... A i z pożytkiem nieboszczka leciała, ciągnął daléj stary, opatrując nieżywą: o patrzajcie! I tu, uchylając skrzydełka trupa, ukazał mi dwie kuleczki massy białéj do nóg przytwierdzone. To jeszcze fracha, mówił rzucając na stronę muchę, byleby na nas nie nalatywały cudze pszczoły... Trza prosić pobereżnika o główkę gadziny.

— A toż na co? zapytałem zdziwiony.

— O! a zaraz na co?— potrzeba i tyle!... nie bądźcie paniczku ciekawi, bo prędko posiwiejecie.

Głowa węża wbita na pal między ulami, miała być talizmanem chroniącym pasiekę od najścia groźnego nieprzyjaciela.

* * *

Przechodząc na inne pole gospodarstwa wiejskiego, dzielimy się z Wami przyjemną nowiną. Dochodzą nas wieści z Odessy o mającéj się urządzić w tem mieście kolei konnéj lub maszynie parowéj kursującéj bez pomocy relsów. Obmyślano to w celu ułatwienia komunikacyi między stacyą towarową drogi żel i magazynami zbożowemi w mieście. Z resztą nie tyle tu idzie o ułatwienie, jak o zmniejszenie kosztów przewózki zboża, które przechodzą już dziś wszelkie wyobrażenie. Właściciele podwód pod nazwą bindiuhów, w czasie złéj drogi, a o tę w Odessie, byle trochę błota, nie trudno, nie umieją ceny złożyć za swoją parowiorstową fatygę. Mówiono nam iż zeszłéj jesieni brano po 40 rubli od wagonu t. j. za zwiezienie z dworca kolei do miasta 60 czetwerti pszenicy. Nie dziw więc iż mieszkańcy Podola mający stosunki zbożowe z Odessą z największą aprobatą powitali zbawienny ten środek zapobiegać mający drożyznie transportu miejskiego i co najrychléj radziby się doczekać wykonania projektu. Byleby nie zechciano odkładać tego *ad calendas* jak wiele innych dobrych pomysłów np. Odessko-Dnieprowego wodociągu mającego dostarczyć Odessie dobrą wodę, asfaltowych chodników, nowego teatru... Pierwiéj jednak nim co nastąpi życzylibyśmy Odessie lepszych bruków. Wstyd przyznać by miasto zajmujące 4-te stanowisko w kraju podwzględem handlu, obfitowało w błoto właściwe tylko mieścinom zaściankowym. Doprawdy trudno tu się dobadać powodu podobnego zaniedbania się miasta. W braku innych trza chyba zepchnąć na młodość Odessy nie liczącéj nad 60 lat exystencyi. Nie było więc jeszcze czasu pomyśleć o urządzeniu się należytem.

Jeden z możniejszych obywateli okolicy tutejszéj p. Mańkowski założył temi czasy w Odessie kantor komissowy zadaniem którego ma być pośredniczenie ziemianom w zbyciu ich produktów rolnych. Bardzo może być tu na dobie podobne bióro, właściciele bowiem żyznych ziem Podola i Ukrainy z otwarciem kolei Kijowsko-Bałtskiéj i Żmeryniecko-Wołoczyskiéj widząc możność wysyłania do Odessy swej pszenicy, biedzili się już nad tem w czyjeby ręce dowierzyć można swoje dobro i komu zaufać prowadzenie interesu sprzedaży nie mając tam nikogo ze znajomych, a nasłuchawszy się tyle okropnych rzeczy o cudzoziemskich aferzystach: Grekach, francuzach, Włochach i w. i. szarlatnnach. Kantor p. Mańkowskiego wysłał w tym roku kilku agentów na Podole i w m. Płoskirowie założył swą filię. Porobiono już stosunki z niektórymi naszymi rolnikami. Życzący wejść w układy z agencyą t. j. przyporęczyć zbyt zboża, otrzymują na żądanie pieniądze na koszta zbioru w rodzaju zadatku i razem zaręczenie iż pszenica taniéj od 11 rubli czetwert (7 ćwierci) nie zostanie sprzedaną (licząc w to koszta dostawy do Odessy i procenta komisowe). Co się zaś tycze przewyżki, to ta zależéć będzie od ceny normalnéj— Odesskiéj.

Podobne ułatwienie w spieniężaniu po dobréj cenie owoców swéj pracy zachęcić powinno naszych gospodarzy do gorliwego chodzenia około roli. Bo chyba ten tylko nie skorzysta z użytecznéj instytucyi, któremu w polu nie urodzi, lub który poprzysiągł Icka lub jakiego Abrahama nie opuścić do zgonu. Wszystkie jednak powyższe projekta przy najpomyślniejszych wypadkach rozbić się mogą o jeden twardy szkopuł — niepewność zbioru—brak robotnika...

Trudność w dostaniu robotnika u nas, na co się uskarżałem w jednym z listów poprzednich, pochodzi z wielu przyczyn. Między innemi, zda się najgłówniejszą—pijaństwo, któremu na Podolu więcéj może jak gdzie podlega lud wiejski, tak-

ZARYSY EGIPSKIE.



PIRAMIDY.



KUNY.

mężczyźni jak i kobiety. Nałóg ten okropny, nad którego wykorzenieniem darmo byłoby przemyśliwać, z latami przybiera coraz większe rozmiary. Podwyższenie opłaty za patent na handel wódczany, mniemaliśmy że potrafi zapobiedz szerzeniu się opilstwa, przynajmniej po wsiach mniejszych. Tymczasem wywarło to zupełnie przeciwny skutek; w miarę drożenia okowity, amatorów kieliszka więcej się znajduje, z czego się wyradza pozorna potrzeba zakładania nowych szynków. Przebiegli spekulanci, co żyją z kredki i z główki, umieją z tego korzystać i przy lada sposobności eksploatują nałóg. Prawa nadanego włościanom subarendowania własnych szynków, zaczęto nadużywać tak, że dziś wioska nie przenosząca setki ludności płci obojéj miewa po 2 i 3 karczemki. Wielu z obywateli tutejszych pozamykało swoje, skwitowawszy nawet z dochodów, któréj jakkolwiek byłyby znaczne zawsze nie przewyższą straty w gospodarstwie wynikającéj z wódki, którą co kilka kroków napotyka włościanin w gęsto rozsianych dystrybucyach.

Niżéj przytoczymy fakt małéj zda się wagi na pozór, a nie mniéj przekonać mogący jak z każdym rokiem zamiłowanie do trunku wzrasta w ludzie naszym. Od wielu lat istnieje na Podolu zwyczaj (a może nie tylko tu), iż płeć niewieścia obowiązana jest w dzień Wielkiéjnocy wypłacić się *pisankami* (jaja rysowane woskiem, następnie zabarwiane w ukropie) własnéj roboty mężczyznom, którzy częstowali je wódką w ostatni dzień zapust. Że ilość darù zależy od liczby wypitych kwaterek (lub coś podobnie), łatwo sobie wyobrazić ile to jaj iść musi co roku na powyższy użytek. Otóż pominąwszy lata przeszłe, rok bieżący przekonywa nas, iż libacye na cześć Bachusa tegorocznych zapust przebrać już musiały wszelką miarę, kiedy po wioskach najzupełniéj zabrakło kurzych owoców, a w miasteczkach z braku dowozu dokupić się ich nie można.

Czas przedwielkanocny, obfitujący zwykle w ten produkt gospodarstwa ptasiego, zawiódł w tym roku nasze pp. gosposie, bo owa ingredyencya tak niezbędna w pieczywie ciast, a o którą dawniéj łatwo było na wsi, dziś spotrzebowana została przez włościanki na przysposobienie daru w postaci *pisanek*.

Dziwném wyda się gdy powiem, iż szkółki ludowe istniejące od niedawnego czasu w gubernii tutejszéj winny rychłe powstanie swe szynkom... Nie śmiejcie się, tak jest rzeczywiście. PP. pośrednicy pokojowi, widząc, iż włościanie skwapliwiéj zabierają się do zakładania nowych szynków niż do urządzania szkółek, nie pierwiéj pozwalali zaczynać im budowę tych pierwszych, aż każda gmina z osobna u siebie urządziła szkółki, umówiła „dyrektora" i nie oddała swych malców na naukę. Mimo to, iż rodzice nie z bardzo dobréj strony zapatrują się na edukacyę i długo się z tém ociągają, chłopięta jednak wielką okazują ochotę do nauki czytania i dość zdolności. Często się zdarza, że dorosłe nawet parobczaki każą młodszéj braci pokazywać sobie litery, które następnie z wielkiém zajęciem składają w syllaby i nieraz w krótkim czasie ucznie prześcigają swych małych nauczycieli.

Witold Chłopicki.

KUNY.

Kuny, jakkolwiek co do wzrostu swego do niewielkich należą ssących, nie mogą jednak brać za złe zoologom, że je do rzędu drapieżnych zaliczyli, a wśród potężnych swych pobratymców bynajmniéj za ostatnie uważać się nie petrzebują. Są to w istocie istoty drapieżne doskonałe; budowa ich ciała najzupełniéj odpowiada wymaganiom życia rozbójniczego: ciało ich jest wysmukłe, nogi krótkie i silne, palce oddzielone i zakończone silnemi pazurami, oczy i uszy wielkie, a szczęki groźne. Warunki te usposabiają je do ruchów dziwnie zręcznych i pewnych: chodzą dobrze, po drzewach łażą znakomicie, wybornie pływają, przełazić umieją przez otwory do nieuwierzenia małe, a w dodatku zalecają się wytrwałością. Węchem, wzrokiem i słuchem mało które przewyższa je zwierzę; a gdy do tego dodamy, że są sprytne, podstępne, odważne i waleczne, zrozumiemy łatwo, jak groźnego mają w nich wroga istoty drobniejsze, słabsze, mniéj zwinne; przeciwko zaś potężniejszym drapieżnym mają obronę *sui generis*: za pomocą właściwych gruczołków wydają woń nieznośną, któréj strasznego nieraz napastnika zmusza do ucieczki. Siedliskiem ich jest cała strefa umiarkowana i północna — w Europie brak ich podobno na jednéj tylko Sardynii. Kuna domowa, inaczéj kamionką zwana, przebywa najchętniéj w pobliżu mieszkań ludzkich: rumowiska, stare budowle, stosy drew zamieszkiwane są bardzo często przez tego groźnego niszczyciela ptastwa domowego. Długość jéj ciała wynosi bez ogona około 18 cali, a wysokość dochodzi 8, ogon zaś ma 10 cali. Również pospolity drugi gatunek kuny, zwanéj leśną, nieco od poprzedniéj większy, stroni od miejsc zamieszkałych i żywi się głównie zwierzątkami i ptakami leśnemi, mniéj też dotkliwie człowiekowi daje się uczuwać niż kamionka, któréj żarłoczność znają dobrze gospodynie wiejskie: nieraz znajduje się po 10 i 20 sztuk drobiu jednéj nocy zamordowanych. Do tego poluje na myszy, szczury, króliki, ptastwo wszelkiego rodzaju, a gdy jest w lesie, ugania się głównie za wiewiórkami. Małe ptaszki i jajka stanowią dla kuny przysmaki, nie zaniedbuje też owoców: wiśni, śliwek, gruszek, agrestu; dla uchronienia od niéj drzew owocowych dobrze jest skrapiać pnie olejem skalnym. Dla zdobycia miodu nieraz szturmuje do ula.

Młodo schwytana kuna, łatwo się oswaja; wychowywanie młodych kun powierzano niejednokrotnie kotom, te bowiem wybornie się na piastunki nadają. Często też i dorosłe kuny dochodzą pewnego stopnia oswojenia; jednakowoż nigdy się nie pozbywają swéj drapieżności, i pomimo dobrego karmienia, popełniają bezustannie występki przeciw własności i życiu, aż nakoniec właściciel kuny lub utrapieni jego sąsiedzi wydają na nią wyrok śmierci.

Kunę łatwo jest złowić w sidła; w polowaniu na nią należy używać dobrego psa, — rzuca się bowiem wściekle na swego prześladowcę i łatwo go odstraszyć może. Myśliwiec korzysta z futra, które znane jest pod nazwą tumaków; futro kuny leśnéj jest o wiele droższe od futra kamionki, najlepsze jednak gatunki pochodzą z północy.

Artysta przedstawił młode rodzeństwo kamionek; poznajemy je po białém podgardlu, zkąd też ten gatunek kuny otrzymał nazwę białoszyi. Jakkolwiek młode, bo zaledwie po kilka liczące tygodni, kuny nasze są już widocznie dosyć wprawne w swém rzemiośle, bo widzimy jeszcze szczątki jajek z jakiegoś zrabowanego ptasiego gniazdka. Wejrzenie samo tych młodych stworzeń dobrze maluje ich skłonności: z całéj téj postaci przeziera pewna naiwna komiczność połączona z żądzą mordu,—artysta, snadź rozmiłowany w żywéj przyrodzie, umie ją zręcznie na uczynku chwytać.

ZARYSY EGIPTU.

1. Piramidy. — 2. Świątynie i pałace królewskie. — 3. Grobowce mahometańskie. — 4. Lud.

I. PIRAMIDY.

Wyprawie Napoleona I do Egiptu, światłemu otoczeniu, jakie mu tam towarzyszyło, następnie licznym niezmiernie podróżnikom, którym bracia Champollionowie drogę materyalną i intellektualną utorowali, nareszcie całemu zwrotowi Wschodu ku cywilizacyi zachodnio-europejskiéj zawdzięczamy, iż dziś przy pomocy ułatwionéj kommunikacyj i sposobach reprodukcyjnych, fotograficznyh i chromolitograficznych, a przy objaśnieniach, jakie dać nam mogą muzea i zbiory starożytności egipskich, jesteśmy w stanie zagłębić się w badania stopnia cywilizacyi, ducha religijnego i stanu obyczajowego kraju, który pięć tysięcy lat temu stawiał pomniki najśmielsze, najogromniejsze a tchnące podniosłym celem uwiecznienia wiary w nieśmiertelność duszy, lub idei państwa i rodziny.

Różnorodne czyniono domysły i hypotezy dążące do zbadania istotnego celu stawiania tak ogromnych pomników, jakiemi są piramidy, z których największe dwie w Gizeh niedaleko Kairu, wierzchołkami wznoszą się na 450 do 480 stop od podstawy wynoszącéj do 700 stop w jednym rozmiarze boku kwadratu. Najwięcéj do prawdy zbliżonym, bo nie można twierdzić, aby był prawdą bezwarunkową i dowiedzioną, jest ze sfery domysłów praktycznego użytku piramid, oparty na ich położeniu pomiędzy najbardziej ku wschodowi wysuniętym językiem wyniosłej równiny sypkiego piasku i chlebodajnym Nilem, a zarazem na układzie, a raczéj ustawieniu onych takiém, iż stanowią łańcuch sztuczny wzgórz, które acz same ulegają i w znacznéj części, bo do wysokości 50 stop uległy już zasypaniu piaskiem pustyni, wszakże zważywszy, iż to zasypywanie trwa już kilka tysięcy lat, spełniły i spełniają dotąd prawdopodobne swoje przeznaczenie.

Po nad tym domysłem góruje jednak wiadomość opar ta na podaniu Herodota, na dzisiejszych zabytkach znajdujących się wewnątrz piramid i na napisach w tych komnatach wewnętrznych odczytanych, iż to były dzieła, które wypłynęły z wiary i obyczaju starożytnych Egipcyan.

Egipcyanie wierzyli głęboko i niezachwianie w nieśmiertelność duszy, w duchowe życie za grobem; te dwa objawy jednego w zasadzie wierzenia miały w skutku dwa objawy pod względem formy i obyczaju, to jest balsamowanie ciał i szczególną staranność w urządzaniu miejscowości wiecznego spoczynku, stanowiących całe miasta katakumb w skałach kutych. O śmierci i życiu pośmiertném dużo myślano, dużo starań obracano na obrzędy pogrzebowe i nie mało czasu rozpamiętywaniu życia zmarłych poświęcano; ztąd owe skrzynie zawierające mumie opisane i obmalowane symbolicznemi wyrażeniami, ztąd owe urządzenie katakomb podobne do małych świątyń przeznaczonych na modlitwy pośmiertne, ozdobionych wewnątrz płaskorzeźbami wyobrażającemi życie rodzinne i publiczne zmarłych, ztąd też i piramidy i sfinksy nagrobne królów powstały. Starano się życie to przeciągnąć jak można najdłużéj w przyszłość, i istotnie w porównaniu z krótkotrwałą zaledwie kilkodziesięcioletnią wędrówką naszą na ziemi, te niezmiennie kilka tysięcy lat przechowane pomniki były i są

do dziś dnia najdoskonalszym obrazem wieczności, jaki z pod wątłéj ręki ludzkiéj wyszedł.

Rycina nasza przedstawia piramidy w Gizeh niedaleko Kairu, z których większa postawiona była przez króla Chufu, a jak go Herodot nazywa z grecka Cheopsa na 3000 lat przed naszą erą, druga zaś przez następcę jego Chefrena; trzeci olbrzymich rozmiarów sfinks jest także pomnikiem grobowym, wchodzi się do niego jak do piramid wązkiemi granitowemi drzwiami, które tu zamieszczone są pomiędzy łapami sfinksa wykutego z rodzinnéj wapiennéj skały. Głowa tego kolosa jest trzydzieści razy większa od zwykłéj ludzkiéj; cały pomnik ma 70 stop wysokości, a 140 długości.

Piramidy te stanowią obecnie miejscowość ulubionéj przejażdżki mieszkańców Kairu i cudzoziemskich podróżników. Wygodna droga pozostała w części z gościńca, który Chufu zbudował dla sprowadzaniaz łomów kamienia wapiennego, służącego do okładania piramid i granitu na grobowiec wewnętrzny, dziś udogodniona i dokończona przez wice-króla Egiptu stanowi stałą kommunikacyę nieustającéj do tych miejsc pielgrzymki.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Na Dziś, pismo zbiorowe, poświęcone literaturze, naukom, sztuce, gospodarstwu krajowemu, handlowi i przemysłowi. Tom I. Kraków 1872, str. 446.

Ciąg dalszy. (Ob. Nr. 38).

W dziale historycznym napotykamy dwie prace. Pierwszą jest studyum Dra Ksawerego Liskego p. n. „Dziewica Orleańska“. Jest to, jak widać z tytułu, ustęp wyjęty z obszerniejszego dzieła p. n. „Kobiety historyczne“. Rozumiemy wybornie, że pomiędzy kobietami historycznemi Joanna d'Arc niezbędnie musi mieć miejsce: lecz przedmiot ten od zwyczajnego nawet kompilatora wymaga albo zwięzłego i umiejętnego streszczenia, albo pełnéj natchnienia i grozy malowniczości, albo oryginalności poglądów. Ani jednego z warunków tych w artykule p. Liskego nie widzimy. Opowiadanie wlecze się jak po piasku; pretensyonalna napuszystość dzierży miejsce zapału, a co do oryginalności, nie sądzimy, ażeby nauka historyczna zyskała coś na tém, gdy się dowiemy, że dźwignią czynów Joanny była wiara i patryotyzm, że powołania swojego nie uważała ona w Reims za ukończone, i że cuda legendy jéj dadzą się wytłomaczyć na zasadzie „Fantazyjnych objawów zmysłowych“ Dra Szokalskiego. W ogólności dziwimy się jak „Dziewica Orleańska“ mogła się dostać do pisma, które pod względem wyboru artykułów okazało się dosyć wymagającém.

Cennym klejnotem krakowskiéj książki jest artykuł p. n. „Wyniki badań najnowszych o Mistrzu Wincentym i jego kronice“ przez Augusta Bielowskiego. Jest to rzecz o znakomitym kronikarzu XIII wieku, zwanym, Bóg wie dla czego, Kadłubkiem. Właściwie należy go nazywać Wincentym Bogusławiczem. Imię ojca Wincentego, Bogusława, przełożone było na niemieckie imię *Gottlob*, i ze stosowném łaciny średniowiecznej zakończeniem, jako imię praojcowskie do imienia kronikarza naszego niekiedy dodawano. iTak powstała owa do niedawna niezrozumiała nazwa *Vincentius Katlubonis*. Czy ją ukuli w ten sposób cudzoziemscy u nas cystersi, do których tak lgnął nasz Wincenty, że darował im dobra swoje i w zakonie ich żywot swój zakończył, czy też kto inny dał jéj początek? to nie da się dziś ściśle oznaczyć i nie wiele też na tém zależy. Wznawiając tę nazwę w wieku XV, kopista toruński zatrzymał ślad niemieckiego jéj pochodzenia i napisał *Katlubonis*; mylili się i zacierali ten ślad kopiści polscy, z których jeden wypisał tę nazwę *Katublonis*; drugi wyszukiwał w niéj pierwiastku polskiego, i głoskę *t* na *d* zamieniając, napisał *Kadlubonis*, trzeci, nierównie śmieléj postępując, zamienił końcówkę łacińską *nis* na polską *wicz* i napisał *Cadlubowicz*; czwarty zatarł nakoniec i tę skazówkę polską imienia praojcowskiego, zowiąc go *Vincentius dictus Kadlub*. Długosz zowie *Vincentius Cadlubkonis*; u późniejszych został on *Kadłubkiem*, a u Kochanowskiego *Kadłubskim*.

Bielowski nazywa go „Mistrzem Wincentym,“ bo tak współcześni jego nazywali. „Godność Mistrza nauką uzyskana, odznaczyła go dobitnie między uczonymi swojego wieku, otworzyła mu drogę do wysokich dostojeństw duchownych, i zjednała mu u narodu wziętość, któréj, jako źródło dziejowe wieku XII, nigdy mieć nie przestanie.“

Autor streszcza najprzód: co wiemy o życiu kronikarza. Następnie wraca mu nazwisko rodowe, potém opisuje trzydzieści kilka kodeksów jego kroniki, które wszystkie oglądał. Żaden z kronikarzy tych, co przed Długoszem pisali, nie doszedł nas w tak wielu rękopismach, jak Wincenty. Świadczy to o wielkiéj jego niegdyś u narodu wziętości i upowszechnieniu jego kroniki. Z obejrzenia wszystkich tych rękopismów okazuje się, że nietylko autografu kroniki Wincentego nie mamy, ale nawet i współczesnego jéj odpisu. Dwa z nich najstarsze sięgają dopiero początkowych lat wieku XIV; trzeci pisan był w samym końcu owegoż wieku. Dwa znowu lub trzy są z wieku XVI, a wszystkie inne kopiowane były w wieku XV. Żaden z nich nie odznacza się taką poprawnością, iżby służyć mógł za wyłączną podstawę dobrego wydania. Jakkolwiek kodeksa Kuropatnickiego petersburgski i Mikołaja wiedeński zasługują na największe uwzględnienie, to wszelako nie wystarcza, i często kroć podają późniejsze z XV wieku kodeksa do odbudowania tekstu Wincentego lepsze wskazówki. — Co się tycze czasu, w którym pisał Wincenty, p. B. uważa za rzecz pewną, że aż do 17-go rozdziału czwartéj księgi pisał ją z rozkazu Kazimierza i za jego życia, mianowicie przed rokiem 1194. To co po rozdziale 18-ym księgi IV w kronice téj następuje pisane było już po śmierci pomienionego księcia, lecz przed ustąpieniem z tronu Władysława Laskonogiego (1207), nim jeszcze Wincenty, został biskupem.—W dalszym ciągu rzeczy p. B. wylicza źródła i podziwia erudycyę Wincentego znakomicie oczytanego w dziejach postronnych i literaturze klassycznéj. Przytém uczony autor, z odwagą godną lepszéj sprawy, wymienia owego mitycznego Mierzwę czyli Miorsza, co miał pisać swą kronikę około r. 1050.

...„*Miorsza*, co najpierwszy kreślił nasze dzieje,
Miorsza, co sam czerpiąc z *lęchickiéj* kroniki,
Przekazał nam te cudne badań swych wyniki...“ [1])

Natomiast autor uparcie niełaskaw jest na Lelewelowego Mateusza Cholewę, którego kronika (jeżeli przypuścimy, że Mateusz pisał kronikę) jest dziś dla nas stracona, i mylnie, podług p. B. byłoby mniemać, że ona u Wincentego ocalała. Wincenty zmieniał i przerabiał swe źródła; wszystko więc co z siebie wysnuł, jak i owo co od drugich przejął, stało się nieodzowną własnością Wincentego; jemu należy dziś tego dzieła zasługa, i sam on za niedostatki jego odpowiadać winien w obec krytyki. Nareszcie autor artykułu wylicza zalety i wady kronikarza, słusznie wynosząc pierwsze. Wincenty włożył główne staranie swoje w to, iżby dziełu swojemu nadać formę jak najwięcéj ponętną, urozmaicić ją przykładami, ustroić krasomowstwem i kwiatami poezyi. Z dzisiejszego stanowiska można mu zarzucić sadzenie się na morały; ale to jest co właśnie w owych czasach najwięcéj popłacało, czego prawdopodobnie od niego wymagano. Zdarzenia same opowiada dosyć króciuchno, mniéj dbając o dokładność szczegółów, a podnosząc nadewszystko ich stronę etyczną. Obok zalet ma on też niemałe wady; rzecz główną często poświęca celom podrzędnym, i same nawet zdarzenia niekiedy dla celów etycznych przekręca. Dopiero w księdze IV staje się treściwszym i naturalniejszym. Trzydziestoletni przeszło okres, poprzedzający wstąpienie na tron Władysława Laskonogiego, traktuje Wincenty jako dobrze tych dziejów świadomy. Przedewszystkiém zasługuje tu na uwagę stosunek Kazimierza do ziem podtatrzańskich, do Słowaczczyzny łącznie ze Spiżem, do tak zwanego królestwa Galicyi; stosunek jego do Węgier i Rusi w ogóle, osobliwie zaś do książąt Kolomana Borysowicza i do trzech Mścisławiczów. W ogóle wszystko co samego Kazimierza się tycze, opracował autor z największą starannością, kreśląc obraz z natury, a przy zaletach nie zatajając i ułomnostek. Ogromna różnica zachodzi pomiędzy Wincentym i Gallem. Cześć książąt, *laus principum*, jest niejako hasłem u Galla, stawia on ją samą jedną najwyżéj; u Wincentego do tejże wysokości podniesiona jest cześć możnych. Wymowny gdzie idzie o któregoś z możnych pochwałę, jest on nadzwyczaj ubogi w słowa, gdy idzie o odwrotną stronę obrazu. „U Galla świetność dworu należy jeszcze do zalet, i autor ten z upodobaniem jéj się opisem zajmuje; u Wincentego jest ona naganą i z rodzajem wzgardy mówi on o Władysławie, że miał poczucie pewnéj dumy i podobał sobie w wystawności, a jedną z najwyższych zalet, które u niego pewny możny Kazimierza na tron zalecając wygłasza, jest ta, że zniósł cierpliwie otrzymany niegdyś policzek“. Mimo wszakże tych skaz dzieje synów i następców Krzywoustnego przez Wincentego skreślone są jednym z najznakomitszych pomników polskiego kronikarstwa. „Widać z nich że autor miał szczere zamiłowanie prawdy, i odgłos jéj daje się u niego dosłyszeć nawet w ustępach tych, gdzie tak uprzedzenia ówczesne jak i własne jego skłonności w przeciwnym kierunku na niego działały“. Za niemałą też p. Bielowskiemu należy poczytać zasługę uwydatnienie istotnéj wartości znakomitego kronikarza.

(d. c. n.)

---

1) Z żartobliwego utworu Maurycego Dzieduszyckiego p. t. *Kalejdoskop czyli dramat na Łyséj górze.*

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO I SPOŁECZNEGO.

NOWSZE POGLĄDY NA STATYSTYKĘ MORALNOŚCI, G. F. Knappa.

Dalszy ciąg. (Ob. Nr. 38).

Jak w każdym uczciwym sporze, należy najprzód porozumieć się co do tego co obie strony ciągle uznawały i uznają; tym sposobem tylko plac boju dokładnie się ograniczy.

Przedewszystkiem obie szkoły, tak dawniejsza jak i nowsza zgadzają się na uznawanie faktów. Znane im są wprawdzie słabe strony wyrachowań statystycznych, żadna jednak z obu szkół nie twierdzi, że przeciwniczka jéj z niepewnego materyału wnioski wyprowadza: po ścisłém porównaniu broń uznana jest za równą.

Dalej panuje również jednozgodność i w tém twierdzeniu, że w obec wielkiéj prawidłowości w liczbie powtarzających się corocznie postępków, nie może być mowy o wolności woli, jeśliby wolna wola miała znaczyć to samo co bezprzyczynowa wola. Temu kto by się zapatrywał na postępki jak na produkta „chcenia" niczém nieumotywowanego, posiadającego własną energię, a zatém usuwałby czynności ludzkie z zakresu związku przyczynowego, statystyka doświadczalna dowodzi, że pogląd podobny jest fałszywym, bo przy takim ustroju woli prawidłowe powracanie prawie równéj liczby postępków w jednakowych odstępach czasu,—staje się niezrozumiałém. Absolutnéj zatém dowolności, swobody woli w pospolitém jéj znaczeniu, obie szkoły nie przypuszczają. Ale jeżeli starsza francuzka szkoła mniema, że tym sposobem broń realizmu pozyskała ważną pozycyę panującą nad obozem filozofii spekulatywnéj, dowodzi tylko że nie zna strategicznego rozlokowania przeciwnika, bo owo pojęcie wolnéj woli, jakkolwiek kiedyś przeważające, oddawna porzucone zostało: zbijanie go na drodze doświadczalnéj przyszło o jeden wiek za późno.

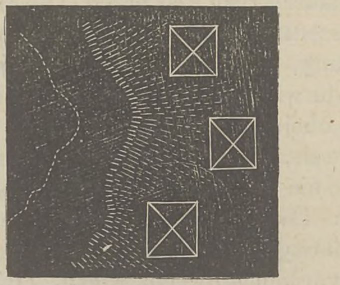
Od tego punktu począwszy, obie szkoły rozchodzą się we wnioskach z jednych i tych samych faktów.

Szkoła francuzka pamiętając ciągle o astronomiczném tle badań swego założyciela, widzi w człowieku, którego pozbawiła wolnéj woli, istotę podległą przymusowi jakichś praw na zewnątrz istniejących, obdarzoną przytém cudownym darem świadomości tego co się z nią dzieje, a co najważniejsza poczuwającą się w sposób nieloiczny do odpowiedzialności. Część stronników téj szkoły przeczy więc każdemu samoistnemu czynowi jednostki;—inni znów pragną wolności ludzkiéj pozostawić choć drobne pole działalności, tak jednak że ztąd wyniknąćby mogły co najwięcéj małoznaczące nierówności, podobne np. do błędów w obserwacyach popełnianych. Człowiek działający porównywany jest zatém, albo do spadającego kamienia, albo do psa uwiązanego na łańcuchu, któremu z matematyczną i nieubłaganą ścisłością, zakreślone jest miejsce, w którém swobodnie skakać sobie może.

Szkoła niemiecka, a na jéj czele Drobish ze swoją treściwą pracą z 1867 r. — uważa podobne zapatrywanie się francuzów za spaczone i nie wytrzymujące krytyki, spoczywa ono bowiem na wywróceniu prawdziwego zresztą twierdzenia. Niepodobna wprawdzie zaprzeczyć, że gdyby podobne zewnętrzne przymusowe prawa istniały, w takim razie prawidłowe powracanie przestępstw, małżeństw, samobójstw i t. p. musiałoby mieć miejsce. Ale fałszywém jest mniemanie jakoby owa prawidłowość dała się wytłómaczyć tylko za pomocą praw zewnętrznych. Dla głębszego myśliciela, prawidłowe powracanie jednakowych skutków, dowodzi tylko istnienia jednakowych przyczyn, bez względu na to, czy one z zewnątrz czy z wewnątrz pochodzą. Jeżeli francuzi mają tyle śmiałości, iż z samego istnienia jednakowo silnych przyczyn, wyprowadzają ich zewnętrzne pochodzenie,—przekształcają *jak* na *skąd*—łatwo jednak przekonać się, że ta loika nie może rościć pretensyi do wytwarzania wniosków dokładniejszych od rezultatów osiągniętych na drodze innego rozumowania.

Ponieważ z samego rozważania prawidłowości niepodobna jeszcze nic wnosić o pochodzeniu działających tu przyczyn,—należy za tém głębiéj zbadać naturę czynów i potém dopiero stanąć po stronie wewnętrznych lub zewnętrznych pobudek postępków.

Przyjęcie praw zewnętrznych, panujących astronomicznie nad człowiekiem działającym, jest wprawdzie najdogodniejszém, zadawalnia bowiem przedewszystkiem swoją krańcowością: ale ma też cechy takiéj dowolności, że z trudnością jako teorya utrzymać by się mogło. Bo najprzód prawidłowość podobna do obiegu ciał niebieskich nie da się tu tak ściśle przeprowadzić. Powtóre, w każdéj odmiennéj grupie zjawisk, prawidłowość jest inną: jeżeli zamiast mówić o przestępstwie w ogóle, weźmiemy na uwagę morderstwo, kradzież, fałszerstwo, — przekonamy się że ilość każdego przestępstwa po szczególe jest inna: mielibyśmy więc do czynienia z oddzielném prawem dla każdéj grupy, a zatém w ogóle z taką plątaniną praw, że podobne przypuszczenie traci w zupełności cechę prostoty, którą się zalecać miało. Ta zagmatwana całość praw miałaby zresztą szczególne podobieństwo do rezultatów, jakie daje zapatrywanie się na człowieka działającego z pobudek wewnętrznych: — lub też należałoby przyjąć dziwną od wieków przepisaną harmonię, skutkiem któréj prawa zewnętrzne skłaniają człowieka do kradzieży drzewa, gdy jest zimno, lub do kradzieży chleba podczas drożyzny.



Układ Piramid.

W obec tych starć ze zdrowym rozsądkiem ludzkim, dostarczających właśnie najciekawszych wywodów szkole Buckla, — możemy wysnuwać dane z mniejszym nierównie rozgłosem, a z większą ścisłością jeśli wystawiemy sobie wraz z Drobishem człowieka jako istotę, któréj postępki dokonywają się nie na zagadkowéj drodze przymusu zewnętrznego,—lecz w drodze wewnętrznego umotywowania. Ilość czynów obserwowanych w pewnéj ludności w danym zakresie czasu, nie okazuje się w tedy niezależną od „chceń" osób pojedynczo działających, ale jest po prostu summą, a zatem następstwem czynów dokonanych w pojedynczych wypadkach z pobudek wymotywowanych. Twierdzenie Buckla, że postanowienie jakiegoś individuum, dla całości praw nic nie znaczy,—lub też zdanie Queteleta, że wola jednostki jest tylko małą zawadą w zastósowaniu ogólnego prawa,—opierają się na złém zrozumieniu téj prostéj prawdy: że im więcéj jednostek weźmiemy do rachunku, tém pojedyncze mniéj znaczą.

Okoliczność zaś ta, że w danéj sferze ilość czynów obserwowanych w jednakowych przeciągach czasu nie wiele się zmienia, — ztąd pochodzi, że ludzie w ogóle dość są do siebie podobni pod względem motywów do działania ich popychających i że stosunki otaczające człowieka, z których właśnie te motywa pochodzą, bardzo są do siebie podobne. Przy takich nierównie naturalniejszych przypuszczeniach, małe przytrafiające się wahania w cyfrach, same z siebie się tłómaczą, jak również wyjaśni się to, dla czego porównywane okresy czasu, nie mogą być zbytecznie od siebie oddalone.

Obie szkoły różnią się więc właściwie kierunkiem, w którym następuje tłómaczenie faktów; szkoła Buckla objaśnia z zewnątrz na wewnątrz, widzi nienaruszalność całości praw i ogranicza dla tego jednostkę,—szkoła niemiecka tłómaczy z wewnątrz na zewnątrz, bierze jednostkę taką jaka jest, i bada przyczyny téj nienaruszalności.

Następstwa obu sprzecznych zapatrywań się, nie są bynajmniéj małéj wagi. Jeżeli dawniejsza szkoła, z jéj zewnętrznemi prawami utrzyma się, wtedy nietylko zniweczy na drodze doswiadczalnéj istniejące do dziś dnia pojęcie wolnéj woli, ale obali absolutnie wolność człowieka,—staniemy się „falami morskiemi na ślepo kołysanemi," a pojęcia winy i odpowiedzialności stracą jeszcze i tę resztę znaczenia, która im się dotychczas pozostała. Więzienia zostaną otwarte, a mieszkańcom dane będzie do wyboru albo pozostanie tam w charakterze wychowańców, lub też z wielkiemi przeprosinami ofiaruje im się wynagrodzenie szkód i straconych korzyści, za nieporozumienie w skutek którego traktowano ich jak na karę skazanych. Taki będzie stan rzeczy jeżeli za pośrednictwem prawa zewnętrznego, sposobem budżetowym uregulowane zostaną: liczba przestępstw i wybór przestępców. W razie gdyby daną była zewnętrznie tylko liczba przestępstw, a pozostawałoby w pewnéj mierze w mocy jednostki należenie do aniołów światła lub ciemności,—wtedy naturalnie popełnienie przestępstwa miałoby pierwszeństwo przed czynem natury obojętnéj, a nawet byłoby zasługą, — bo tylko dobrowolne wystąpienie przed front kilku zuchów, dałoby możność pozostałym przepędzenia życia nie obarczonego obawami gardłowego porządku Karola V.

Jeżeli przeciwnie nowsi pisarze niemieccy zwyciężą, wtedy statystyka nie będzie rozstrzygać w kwestyi wolności człowieka, ani *za* ani *przeciw*, pozostawi tę sferę badań filozofii, jak to przed tem miało miejsce, i zadowolni się oddawaniem niektórych praktycznych usług, które zawsze z wdzięcznością przyjmowane będą. (*d. c. n.*)

Sprostowanie. W niektórych numerach Wieńca w Nr. 37, pod drzeworytem: „Pomnik Juliana Bartoszewicza," zamiast: „w kościele Nawiedzenia N. P." czytać „w kościele Opieki Ś. Józefa."

Wydawca, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 1 (13) Мая 1872 г. **Redaktor**, Mieczysław Orgelbrand Mag. Pr. i Adm.

W Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.